ZIEMIE ZACHODNIE Rzeczypospolitej

DODATEK MIESIĘCZNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

ROK III. CZERWIEC 1944 R. Nr. 4 (12)

DAREMNY TRUD

Propaganda niemiecka w stosunku do ludności polskiej na Ziemiach Zachodnich oceniona z perspektywy prawie pięciu lat wykazuje znamienną ewolucję. Na początku głosiła ona, że kwestia polska została ostatecznie zlikwidowana, że państwo polskie przestało na zawsze istnieć, że żywioł polski stracił wszelkie znaczenie polityczne i że skazany jest on w lwiej części, wskutek braku najmniejszych nawet wartości moralnych i ludzkich na zagładę, a w mniejszej części po przeprowadzeniu troskliwej selekcji i przy nieznużonej czujności policyjno-wychowawczej na całkowite wchłonięcie przez organizm niemiecki. Olbrzymi jej aparat skierowany był na Ziemiach Zachodnich nie ku społeczeństwu polskiemu, które „godne było tylko najwyższej pogardy", lecz ku społeczeństwu niemieckiemu, miejscowemu i świeżo napływającemu, by je przekonać o słuszności tych tez i by w nim przez to wywołać pożądaną względem Polaków postawę.

Tak było w pierwszym okresie okupacji, gdzieś do wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej. Później ten stosunek zaczął zwolna ulegać zmianie. Niepostrzeżenie propaganda zaczęła zwracać się wprost do samych Polaków, niepostrzeżenie Polacy na Ziemiach Zachodnich stawali się a d r e s a t a m i propagandy niemieckiej. Zrazu były te awanse marginesowe, nieśmiałe, sporadyczne, później stało się zagadnienie polskie głównym leitmotywem propagandy niemieckiej, przedmiotem największych jej wysiłków. Niemcy rozpoczęli walkę o duszę Polaków zachodnich. Ręce polskie okazały się niewystarczające. Potrzeba im jeszcze polskich serc i polskich mózgów.

Na tę uderzającą zmianę propagandy hitlerowskiej do Polaków wpłynęła nie tylko przedłużająca się wojna i trudności wewnętrzne niemieckiej machiny wojennej. Wpłynął przede wszystkim fakt, że cała eksterminacyjna polityka w stosunku do ludności polskiej nie przyniosła Niemcom spodziewanych rezultatów, wpłynęły niemieckie doświadczenia z paruletniej walki narodowościowej z elementem polskim, przekreślające śmiałe rachuby, jakie Niemcy początkowo snuli. Z gorzkiej esencji tych doświadczeń wyłaniała się przed oczami kierowników niemieckiej polityki upiorna prawda o niezwyciężalności narodu polskiego, jego nieśmiertelności, jego wadze i znaczeniu w świecie. Zwolna zaczęli dostrzegać w Polakach nie

tylko siłę roboczą, nie tylko nędzną ofiarę potężnego państwa — zwycięzcy, ale podmiot polityki, nie rzecz już, ale osobę.

W życiu nic się nie zmieniło, albo zmieniło się bardzo niewiele. Pozostał ten sam terror, te same wywózki na robotę do Rzeszy, te same egzekucje i zsyłki do obozów koncentracyjnych, ta sama atmosfera nienawiści, mściwości i prześladowania. Tylko za kulisami realizowanej polityki się zmieniło. Pojawiły się tam nowe momenty, ale takie, że dzięki nim wszystko, co się dzieje na scenie, choć takie samo, nabrało innej barwy, przybrało nowe wymiary.

W propagandzie niemieckiej, zwłaszcza na jej najważniejszym odcinku — prasie, pojawiły się tony, które pozostają mimo całą nieukrywaną wrogość jej do Polski, w rażącej sprzeczności z jej założeniami z początkowego okresu okupacji. Niektóre ustępy pewnych artykułów gazet niemieckich robią nieledwie wrażenie przedruków z polskiej prasy podziemnej, jak np. ten passus z artykułu „Thorner Freiheit" (nr. 81) p. t. „Zwycięstwo Kościuszki pod Racławicami".

„Polityka bolszewicka staje się coraz bardziej narodowa, nawskroś rosyjska, a imperializm sowiecki nawiązuje do imperializmu carów. Jaskrawym dowodem — dzisiejszy stosunek Bolszewii do Polski.

„Ostatni jednak chwyt propagandowy Sowietów — nazwanie polskiej dywizji komunistycznej imieniem Kościuszki — brzmi paradoksalnie. Tadeusz Kościuszko był bowiem tym polskim wodzem, który za cel postawił sobie walkę z potęgą Rosji, zawsze wrogą i groźną dla Polaków. Zasługą Kościuszki było wielkie i wspaniałe zwycięstwo pod Racławicami, a jeżeli po nim przyszła klęska, to li tylko dzięki brakowi obcej pomocy, w pierwszym rzędzie pomocy Francji".

Do niedawna jeszcze „wielkie i wspaniałe" zwycięstwa odnosili tylko Niemcy, ciemny zaś i barbarzyński naród polski nie był zdolny do żadnego historycznego czynu!

Od pewnego czasu prasa niemiecka wychodząca na Pomorzu, Śląsku i w Wielkopolsce łowi skwapliwie wszelkie echa sprawy polskiej w świecie, oczywiście podając je w odpowiednim preparacie. Poza Anglią, Rosją i Stanami Zjednoczonymi nie poświęca ona żadnemu państwu na świecie tyle miejsca i tyle uwagi, ile jej poświęca państwu, które rzekomo nie istnieje i nigdy już istnieć nie będzie. Dla sprawy polskiej zmontowano najsprawniejszą służbę informacyjną, zgromadzono najlepsze pióra. Od kilku miesięcy jesteśmy na Ziemiach Zachodnich świadkami osobliwego widowiska, polegającego na tym, że zbrodniarze własnymi rękami niby groteskowe narzędzia iście sadystycznej ironii dziejowej usiłują wskrzesić trupa swej ofiary, nie szczędząc żadnych trudów. Tak, wiele się zmieniło od września 1939 roku!

Gdy się zwróci uwagę na to, że żywioł polski na ziemiach anektowanych po kilku latach systematycznego terroru i wyniszczenia, wysiedleń i wywózek, stracił w przerażającym procencie swój aktyw męski, nie mówiąc już o politycznym, to z punktu widzenia niemieckiego realizmu politycznego społeczeństwo polskie Ziem Zachodnich, to społeczeństwo starców, kobiet i dzieci, nie powinno być obecnie warte ani jednej butelki atramentu. A tym-

czasem wylewa go się całymi strumieniami w niemieckich redakcjach na terenach zajętych. Zestawienie tych dwóch momentów ilustruje w całej pełni niebywały upadek polityczny i moralny Niemców. Jak wielka musi być ich słabość, skoro zaczyna im zależeć na przekonaniach i poglądach Polaków, jak muszą być osaczeni zewsząd trudnościami, skoro usiłują w rzekomych popiołach sprawy polskiej odgrzebywać korzystny dla siebie atut!

Trud to daremny. Polskie społeczeństwo zachodnie, które przetrwało największe katastrofy i prześladowania, z tym większą łatwością daje sobie radę z walką prowadzoną przez Niemców o jego duszę, a więc o tę dziedzinę, która zawsze stanowiła w jego zmaganiach się z wrogiem twierdzę najsilniejszą, jeśli nie jedyną. Zwłaszcza dziś, gdy inwazja Sprzymierzonych na kontynent potężnymi uderzeniami w upiorne mury niewoli i ucisku toruje drogę Wolności i Zwycięstwu!

POLSKI PIEMONT

Dziś, gdy Ziemie Zachodnie przeżywają swe najciemniejsze dni, warto zastanowić się nad tym, jaką funkcję cywilizacyjną spełniają one w organiźmie naszego narodu.

Otóż stwierdzić należy jedną rzecz zasadniczą: Ziemie Zachodnie przedstawiają w Polsce typ cywilizacyjny najczystszy i najbardziej jednolity, a mianowicie zachodnio-łaciński. Ponieważ zaś Polska ma o tyle rację bytu, o ile należy do Zachodu, z którego losami związana jest na śmierć i życie, stąd wniosek oczywisty, że Ziemie Zachodnie urastają do znaczenia głównej bazy kultury zachodniej na obszarach Rzeczypospolitej, stają się jej krzewicielem, bojownikiem i pomnożycielem.

Cywilizacja zachodnia w ciągu długich wieków wykształciła na zachodnich połaciach Polski w połączeniu z pewnymi charakterystycznymi cechami biopsychicznymi i moralnymi zachodniego szczepu polskiego — swoisty, odrębny typ Polaka, zwłaszcza, że na Ziemie te nie oddziaływały inne cywilizacje, np. bizantyjska lub żydowska, a jeśli tam przenikały, to w stopniu bardzo nieznacznym, nie pozostawiając grubszego osadu. Stało się to z przyczyn natury historycznej i geopolitycznej jak np. położenie geograficzne, pewna izolacja polityczna i kulturalna w stosunku do innych ziem polskich, głównie zaś oraz ich wydatniejszego udziału w kształtowaniu losów państwa polskiego od czasów jagiellońskich, a więc od momentu, gdy problemy wschodnie zaczynają odgrywać decydującą rolę w polityce polskiej.

Rzymska zasada ładu wytworzyła na Ziemiach Zachodnich w życiu indywidualnym dążność do wyrównania i ujarzmienia odśrodkowych sił duszy, silną dyscyplinę wewnętrzną. W życiu społecznym ten czynnik sprawił, że istnieje tam wybitna tendencja wyrównawcza idąca z dołu w górę, że każda z warstw posiada poczucie godności i ważności swej funkcji w organizmie zbiorowym, a wreszcie, że wytworzył się tam jako reprezentatywny a zarazem najsilniejszy i najzdrowszy stan, stan średni, jakby socjalna ilustracja antycznej zasady „złotego środka". Działanie tych pierwiastków w połączeniu z silnie rozwiniętymi władzami woli i kultem zdrowego rozsądku sprzyjało udoskonaleniu się uzdolnień organizacyjnych, wyrobiło gotowość do najlepszego wyzyskania możliwości człowieka, przyrody i czasu i — co najważniejsze — ugruntowało twórczy stosunek do życia i rzeczywistości. Dzięki temu Polak zachodni nie patrzy na życie jako na ślepą grę sił irracjonalnych i przypadku lub jak na widowisko, rozgrywające się poza człowiekiem, lecz uważa je za najlepszy dar i zarazem za zadanie stawiane człowiekowi przez Boga. Zadanie to spełnia on ochoczo i radośnie, ciesząc się nawet najdrobniejszymi wynikami swej pracy, bo wierzy w sens życia, w produktywność wysiłku ludzkiego. Obcy mu jest zarówno pesymizm wschodni i demonizm zwątpienia (Rosja), jak i leniwa postawa kontemplacyjnie (Indie) lub aktorsko (Italia) usposobionego widza.

Tu leży też tajemnica stosunkowo małych zdobyczy Ziem Zachodnich na polu artystycznym i literackim. Jest to zupełnie naturalne, ponieważ w tym typie ludzkim akcent spoczywa na kształtowaniu bezpośredniej rzeczywistości, a w zakresie władz duchowych, na woli i rozumie. Ogromne

zato i znane powszechnie są zdobycze tych Ziem w dziedzinie politycznej, społecznej i gospodarczej, które znalazły wyraz zarówno w najwyższym stopniu uświadomienia narodowego, w dużej i szerokiej kulturze politycznej, w szarej, organicznej demokratyzacji społeczeństwa, jak i wielu, pięknych instytucjach, wyrosłych z samorodnego ducha inicjatywy tego ludu.

Na szczególne jednak podkreślenie zasługuje niezwykle wielki udział Ziem Zachodnich w dziedzinie ogromnie doniosłej a zarazem dziwnie przez Polaków zaniedbywanej, a mianowicie w dziedzinie **filozofii.** Czyż nie jest uderzające, że wszyscy wybitni myśliciele polscy byli przeważnie Polakami zachodnimi? Wystarczy tylko wymienić nazwisko Mikołaja Kopernika, Witeliona, Stanisława Staszica, braci Śniadeckich Hoene-Wrońskiego, Augusta Cieszkowskiego, Karola Libelta i ks. Pawlickiego.

Obok filozofii ze szczególnym zamiłowaniem uprawiano tam nauki ścisłe i empiryczne a zwłaszcza — filologię, która posiada wielowiekową rodzimą tradycję, bo od kujawianina Jakóba z Paradyża, jednego z pierwszych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego aż do gnieźnianina Ludwika Ćwiklińskiego, profesora honorowego Uniwersytetu Poznańskiego.

Społeczeństwo zachodnie nie tknięte relatywizmem etycznym, znamiennym dla cywilizacji żydowskiej, kwalifikuje czyny ludzkie wyraźnie i stanowczo, a ponadto posiada bardzo silnie rozwiniętą i czułą instytucję opinii publicznej. Przepojone duchem humanizmu instynktownego nie stawia niczego na bezdusznych systemach, tworach zimnego mózgu, do biurokratyzmu i formalizmu odnosi się z wielką niechęcią, buduje zawsze na człowieku, z gruntu antymechanistyczne, lubi organiczność.

Z cywilizacji starożytnego Rzymu w krew swą przejęło to, co stanowiło jej kwintesencję, a to: wysokie **poczucie prawa,** źródło wielkopolskiego legalizmu, źródło zresztą nie jedyne.

Swoim poczuciem historycznym głębokiego związku z przeszłością i szacunkiem dla tradycji wyzyskuje społeczeństwo zachodnie doświadczenie i zdobycze minionych pokoleń jako bezcenny kapitał. Dzięki swej aktywności i dynamiczności jest społeczeństwem o niewyczerpanej młodości, które zarówno ze zdobyczy niepozornych i małych swej pracy jak i monumentalnych urzeczywistnia „Civitas Dei", państwo Boże na ziemi.

„Piemontem ducha polskiego" nazwał Żeromski Poznańskie w ubiegłej wojnie światowej. Dzisiaj określenie to przybrało akcenty szczególnej aktualności i — dramatyczności.

PRUSY WSCHODNIE — PRZYSZŁY BASTION POLSKI

W Londynie ukazała się nowa książka o Prusach Wschodnich p. t. „Fast Menace to Poland and Peace" (Prusy Wschodnie — groźba dla Polski i pokoju). Jest to książka propagandowa przeznaczona dla czytelnika anglosaskiego, broniąca postulatu przyłączenia Prus Wschodnich do Polski. Autor, Robert Machray, jest dobrym znawcą zagadnień środkowo-europejskich, autorem dwóch książek o Małej Entencie, dwóch dobrych książek o Polsce współczesnej (1931, 1936), dwu publikacyj wydanych już w czasie wojny: „The Fastern Question revived" 1940. (Kwestia wschodnia odżyła) oraz „The Polish German problem", 1943, (Polsko-niemiecki problem). Solidny materiał propagandowy dostarczony mu, jak mówi w przedmowie, przez „polskich i innych przyjaciół" umiał Machray przetrawić ze znajomością rzeczy i przystosować do wymagań umysłowości angielskiej. Faktów historycznych i ekonomicznych książka podaje dużo. W części historycznej cytuje licznych autorów niemieckich dawnej i najświeższej daty, z polskich uczonych — Sobieskiego i Vetulani'ego. W jednym, bardzo ciekawym ustępie powołuje się wprost na zbiory Tajnego Archiwum Pruskiego w Berlinie (raport z 1836 r. o destrukcyjnym wpływie szkolnictwa niemieckiego na Mazurów pruskich). Odnośnie do spraw gospodarczych i politycznych powołuje się na liczne wydawnictwa niemieckie, dane liczbowe czerpie zarówno ze „Statistik des Deutschen Reiches" jak i z Romera. Korzysta również z drukowanych publikacyj „Polskiego Ośrodka Badawczego" (Polish Research Centre) z 1942 r.: „German Withdrawal from the Fast" (Odwrót Niemców ze Wschodu) oraz „German Failure in Poland" (Przegrana niemiecka w Polsce).

Publikacja Machraya zawiera 6 map: jedną Europy, jedną Bałtyku, dwie historyczne, jedną dzisiejszych zmian administracyjnych, wprowadzonych przez okupanta i jedną dokładniejszą samych Prus Wschodnich. Załączniki w liczbie 13 podają materiał statystyczny, przeliczony w większości na miarę angielską, więc nieco trudny do szybkiego skontrolowania. Całość robi wrażenie gruntownej roboty, wolnej od tanich demagogicznych efektów.

Przedmowa nosi datę: maj 1943, odnosi się więc do sytuacji politycznej niezupełnie już aktualnej. Operuje argumentem federacji państw środkowo-europejskich, zaś ewentualnych roszczeń sowieckich do tej części Europy nie zdaje się brać pod uwagę. Ubocznie tylko, pisząc o rozkwicie Królewca w drugiej połowie XIX wieku, w okresie dobrych stosunków niemiecko-rosyjskich, rzuca uwagę, że Królewiec eksportował wówczas nie rosyjskie, lecz polskie drzewo, i że dzisiaj Królewiec ze związku z Rosją nie miałby wielkiego pożytku. (Warto w nawiasie zwrócić uwagę na uderzającą zbieżność stanowiska autora z tezą artykułu p. t. „Królewiec — a polskie Ziemie Wschodnie", umieszczonym w poprzednim numerze naszego pisma, streszczającą się w stwierdzeniu, że polskie ziemie wschodnie staną się w przyszłości pierwszorzędnym zapleczem gospodarczym Królewca a zarazem źródłem ponownego rozkwitu tego dziś zamierającego portu).

Książka stwierdza, rzecz prosta, prawomocność granicy polsko-rosyjskiej z 1939 roku, kładzie nacisk na dobre stosunki polsko-rosyjskie przed ostatnią wojną i na gotowość ze strony Polski pokojowej współpracy w przyszłości.

Co nas dziś w kraju może interesować w tej książce? Przede wszystkim dobór argumentów, których używać trzeba wobec Anglików dla przekonania ich o słuszności naszej tezy. Z nich możemy wnioskować, jak ta sprawa stoi w opinii przeciętnego Anglosasa. Argumenty dadzą się sprowadzić do siedmiu.

1) **Argument historyczny.** Autor przypisuje mu stosunkowo najmniejszą wagę, mimo że dziejom prowincji poświęca trzecią część książki. Wyodrębnia z nich 4 okresy: pierwotny (do 1231), rządów Zakonu (do 1410), wpływów polskich (do 1696), i wreszcie rządów pruskich. W ten sposób dwu okresom przewagi niemieckiej przeciwstawia się wsunięty pomiędzy nie okres polski, trwający blisko trzy wieki.

2) **Argument militarny.** Prusy Wschodnie są w rękach Niemiec narzędziem do zniszczenia Polski. Tak było za Krzyżaków, za rozbiorów i w 1939 r. Nie idzie tu o „bezpieczeństwo" Polski; pod to pojęcie podciąga się zbyt łatwo wiele aspiracji zaborczych i niesprawiedliwych. Idzie tu o obronę samej niepodległości Polski, która bez posiadania Prus Wschodnich nie da się utrzymać.

3) **Argument geopolityczny.** Interes brytyjski wymaga zniszczenia hegemonii niemieckiej na Bałtyku, Anglia nie interesowała się tym morzem. Układem z 1935 r. formalnie zostawiła tam wolną rękę Niemcom. Dzisiaj ponosi tego konsekwencje: wyparcie ze Skandynawii, odcięcie od Rosji. Odebranie Niemcom Prus Wschodnich przywróci równowagę sił w tej części Europy

4) **Argument gospodarczy.** Prusy Wschodnie są krajem rolniczym, cierpiącym na zbytnią odległość od rynków zbytu. Odcięte od polskiego zaplecza, nie mogą wykorzystać swego położenia nadmorskiego Dowodem: rozwój Gdańska i Gdyni, a upadek Królewca w ostatnim 20-leciu; przyłączenie Ciechanowskiego do Prus Wschodnich w 1939 r. Prowincja utrzymywana miliardowymi subwencjami z Berlina, znajdzie się na właściwym miejscu w organizmie polskim.

5) **Argument demograficzny.** Niemcy uciekają z Prus Wschodnich na Zachód, emigracja pochłania prawie cały przyrost ludności. Główną przyczyną jest pogoń za wyższym poziomem życia, a także niezdrowa struktura agrarna Prus Wschodnich (przewaga większej własności). Samo życie sprzeciwia się pozostawieniu tego kraju przy Niemcach.

6) **Argument narodowościowy.** Ponad 400 tysięcy mieszkańców prowincji jeszcze 30 lat temu posługiwało się polską mową i ci niewątpliwie jutro do polskości się przyznają. Z pozostałych 2 milionów przeważna część z całą pewnością odpłynie dobrowolnie, jak to miało miejsce na Pomorzu i w Poznańskim po 1919 roku. Niemcy sami zresztą podjęli od pięciu lat masowe przesiedlenia ludności i stracili moralne prawo do protestowania przeciwko stosowaniu do nich tejże miary. Nie mogą się też powoływać na samostanowienie narodów, skoro w czasie tej wojny wcielili do Rzeszy 10 milionów Polaków wbrew ich woli. Ewentualne przesiedlenia nie byłyby prześladowania, ponieważ ludność niemiecka ciążyła i tak na zachód. Tak więc sam fakt wcielenia Prus do Polski odwróci tam w krótkim czasie stosunek liczbowy obu narodów.

7) **Argument ideologiczny.** Oderwanie Prus Wschodnich podkopie w Niemczech ducha pruskiego, zakorzenioną w tym kraju ideologię Herrenvolku. Strata tej wysuniętej placówki odbierze zaborczości niemieckiej racji bytu. — „Prusy Wschodnie — tak kończy autor — są dzisiaj dla Niemców żywym dowodem, że przez podbój cudzych krajów, obalanie dawniejszych form politycznych, burzenie struktury ludności przez wytępienie i demoralizację klas wyższych, zalew tych ziem przez Niemców, zniszczenie miejscowej tradycji i kultury. — są dowodem, że całkowita germanizacja jest procederem skutecznym i korzystnym". Strata

tej ziemi — niby sprawiedliwa kara za grzech — będzie najwłaściwszym środkiem przywrócenia narodowi niemieckiemu jego zdrowia politycznego i moralnego.

Dla nas Polaków ciekawy jest zwłaszcza argument trzeci, tudzież dwa ostatnie. A więc, że trzeba Anglików przekonać, że zmiana granic Polski będzie korzystna również dla Imperium Brytyjskiego. Następnie, że opinia angielska odnosi się niechętnie zarówno do anektowania narodowości, jak i masowych przesiedleń. Trzeba kłaść nacisk na to, że powojenne migracje nosić będą w zasadzie dobrowolny charakter i załatwiane zostaną najbardziej humanitarnie. Na koniec, że przeciętny Anglik musi każdy swój czyn uzasadnić względem moralnym — i że dotąd nie utracił on wiary w „nawrócenie" powojennych Niemiec. Te trzy motywy winniśmy mieć w pamięci przy naświetlaniu polityki naszej oczom Zachodu.

„W stosunku do sytuacji sprzed września 1939 r. dwa postulaty konkretne są odnośnie do przyszłej organizacji Europy środkowo-wschodniej do spełnienia. Pierwszy to uznanie morza Bałtyckiego za morze otwarte i gwarantowana neutralizacja jego cieśnin wyjściowych wraz z kanałem Kilońskim.. Drugi to włączenie do Polski Prus Wschodnich, Gdańska i części niemieckiej Pomorza. Nie waham się stwierdzić, że to są warunki NIE TYLKO BEZPIECZEŃSTWA, ALE BYTU BLOKU ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ EUROPY JAKO JEDNEGO Z ISTOTNYCH ELEMENTÓW CAŁOŚCI JEJ PRZYSZŁEJ STRUKTURY POLITYCZNEJ. Jeżeli nie zostaną spełnione, organizacja trwałej współpracy państw, położonych w tym pasie Europy, będzie stale hamowana przez nieprzyjazne wpływy sąsiednich wielkich mocarstw.

Zagadnienie Prus Wschodnich i Gdańska jest zresztą jednocześnie zagadnieniem decydującym o wewnętrznym układzie stosunków pomiędzy państwami północnej części, interesującego nas obszaru. Z lat 1920 — 25 pamiętamy historię wysiłków, które zmierzały do utworzenia unii państw bałtyckich i Polski. Istotnym powodem niepowodzenia tych wysiłków było pozostawienie Gdańska i Prus Wschodnich poza granicami Polski. Postawiło to Polskę w stan stałego zagrożenia i odstraszało mniejsze państwa bałtyckie od wiązania się z nią, poza tym pozwalało Litwie prowadzić politykę stałej negacji, absolutnie niewspółmierną z jej własnymi siłami i możliwościami, a będącą głównie wyrazem wpływów i posunięć pewnych wielkich mocarstw. Nie mówię już o tym, że t. zw. Korytarz Polski był traktowany na Zachodzie jako prawdopodobny temat kompromisów z Niemcami kosztem Polski. Można być pewnym, że pomyślne rozstrzygnięcie losu przyszłego Prus Wschodnich i Gdańska byłoby równoznaczne z założeniem mocnych fundamentów pod urzeczywistnienie unii bałtyckiej. W pewnych dziedzinach stworzyłoby ono również warunki bliższej współpracy Polski i państw bałtyckich z grupą państw skandynawskich".

(Z artykułu b. ambasadora Rzplitej Juliusza Łukaszewicza, p. t. „Podstawowe warunki polityczne organizacji środkowo-wschodniej Europy". — „Wiadomości Polskie", Londyn).

OD KULTUR — DO VOLKSTUMSKAMPFU

Kulturkampf — bismarkowska zasada walki z duchem Polski w zestawieniu ze współczesną nam narodowo-socjalistyczną zasadą Volkstumskampf'u — ideą walki narodowościowej, walki z Narodem, z Polską jako całością polityczną, kulturalną, gospodarczą daje nam pogląd na rozwój polityczny myśli naszego zachodniego sąsiada, zmierzającego z żelazną konsekwencją do likwidacji Państwa Polskiego, naturalnej przeszkody hamującej rozwój jego wschodnich planów imperialistycznych. W parze z rozwojem tej myśli szła ewolucja metod i pełna realizacja jej zasad zrazu w stosunku do mniejszości polskiej w Rzeszy, a w konsekwencji starcia 1939 roku rozprowadzono ją na

całość ziem Polski. Rozgraniczono przy tym ściśle strefy działania, uwzględniając właściwości historyczne i terenowe. Etapami dążąc do wytkniętych celów wydzielono zupełnie z terenów Polski wszystkie ziemie przygraniczne nieściśle zwane Ziemiami Zach. (bo i Ciechanowskie, Sierpeckie, Płockie itd.) i w zupełnej izolacji poddano niesłychanym i nieznanym dotąd zabiegom.

W krótkim czasie dokonano w przeraźliwym skrócie, nowoczesnymi metodami walki narodowościowej skutecznego powtórzenia wszystkich na przestrzeni historii dokonanych zbrodni.

Nie poszło w ich przygotowaniach nic z przeszłości naszych walk w niepamięć*). Uwzględniono doświadczenia z klęsk zadanych Niemcom przez Marcinkowskich, Wawrzyniaków i Jackowskich, przez upór Drzymałów i bunt dzieci wrzesińskich czy zbrojny protest grudniowego zwycięstwa! Założenia Hannemanna, Kenemanna i Thiedemanna (Ha — Ka — Ta), taktyka polityczna Bismarcka znalazła światopoglądową podbudowę i pełny swój wyraz w działaniach narodowego socjalizmu i jego idei walki narodowościowej.

Jakąż więc ona jest istotnie, na czym zakłada się, jak w praktyce wygląda.

Jest to nieprzejednana walka z obcym sobie żywiołem polskim, powodowana nienawiścią plemienną i poczuciem wyższości rasy oraz jej posłannictwa na wschodzie. Przekonują o tym aż nadto dobrze nie tylko Rosenberg i Himmler w swoich teoretycznych założeniach, ale każdy gest i postawa prostego Niemca w stosunku do Polaka czy polskości.

Jesteśmy więc u źródła wszelkiego w nas wymierzonego zła. Skoro je znamy, tym realniej zarysowują się nam wszystkie gradacje metod i środków, całe gamy szykan i eksterminacji stosowanych wobec polskości. Z tych założeń wychodząc, narodowy socjalizm wprowadził specjalne prawo dla Polaków (w którym żaden Niemiec nie dopatruje się szykany), specjalne sądownictwo, ustawodawstwo pracy, ubezpieczeń społecznych. Pozbawił Polaków prawa własności, dysponowania nawet ruchomością. Zawiesił wolność osobistą, wolność pracy i wykonywania zawodu — uzależniając tym samym element polski zupełnie i bez reszty od swej woli, kontrolując każdy jego ruch — w systemie powszechnego przymusu pracy (od 12 do 60 roku życia), wprowadza niebywały prymityw życia zabijający wszystkie czulsze ośrodki myślowe.

Zmasowanie tych wszystkich środków realizowane równocześnie na wszystkich odcinkach życia przez totalny ustrój państwa stworzyło atmosferę zabójczą, którą tak trafnie określił prezydent Roosevelt jako — tyranię strachu. Jest to niewątpliwie dzieło wykwitu wszystkich zboczeń walk narodowych przy udziale środków jakimi dysponuje XX wiek.

Walka z polskością wynikająca z takich przesłanek ideowych i prowadzona w takiej atmosferze przy uwzględnieniu wszystkich stojących w dyspozycji środków — kładzie główny nacisk na depolonizację ludności i terenu.

Germanizacja idzie w pierwszym rzędzie od podstaw, od germanizowania ziemi, miast, krajobrazu z równoczesnym spychaniem opornego żywiołu polskiego na dno życiowej wegetacji. Biologicznym niszczeniem żywiołu polskiego jest każda ustawa, każde zarządzenie i każda szykana. Zakaz zupełny (ciechanowskie), czy ograniczenie małżeństw (Poznańskie, Śląsk, Pomorze), polskich, dotkliwe ograniczenie ochrony ciężarnej matki i nieletnich przy jaskrawym, karkołomnym faworyzowaniu własnych w tej dziedzinie potrzeb w ustawodawstwie pracy i opieki społecznej, straszny wyzysk sił roboczych przy głodowych racjach żywności, braku opieki lekarskiej, środków leczniczych i higieny społecznej — jest niczym innym jak wyrokiem śmierci na oporną ludność, jawną likwidacją żywiołu polskiego stosowaną nie tylko w/g praktyk warszawskiego ghetta, Treblinki czy oświęcimskich komór gazowych.

Czy może istnieć jeszcze, w tych warunkach, w piątym roku walki żywioł polski? Trąbienie w szeregach niemieckich na wzmożenie walki z ciągle grożącym polskim niebezpieczeństwem jest stwierdzeniem dwóch faktów: istnienia żywiołu polskiego i jego prężności.

Skąd społeczeństwo polskie tych ziem czerpie siły do przetrwania i jakimi kieruje się kryteriami w walce z przemocą, wiedząc, że bierność równa się klęsce? Źródłem siły jest polskość tych ziem, zwartość, organiczność struktury społecznej, rodzimość wszystkiego czym tchnie człowiek i jego dzieło na tych ziemiach stworzone.

Tradycja tysiącletniej nieprzerwanej walki z ciągle tym samym w nowych formach odradzającym się wrogiem i świadomość różnych tej walki kolei. Świadomość ponad wszystko — z mocy ducha zrodzo-

---

*) Wyciągnęli z nich pełną naukę eliminując wszystkie źródła i podstawy mogące być punktem wyjścia jakiejkolwiek akcji z naszej strony.

nej — że zwyciężani orężem tylekroć, zostaliśmy zawsze żywą cząstką Wolnego i Wielkiego Narodu, suwerenem ziem swoich i stróżem historycznej kolebki, który pchany nieugiętą wolą oddolnie idących nowych odrodzeńczych sił, wracał zawsze do swych praw.

Siłą tą — w nawskroś polskich masach — jest płynąca krew piastowiczów, ich instynkty organizacyjno-twórcze, ich wizja Polski.

Siłą tą — świadomość przewagi duchowej, przewagi węzłów zespalających każdego człowieka z całością historyczną, z jej dawnością.

Te źródła, więzy, przeżycia i tradycje wytworzyły swoiste drogi, jakimi polskość chadza w czarnych godzinach swej historii.

Wypływają one z zawsze realnej oceny sił wroga, historycznej wagi chwili i żywego poczucia niekończących się dziejowych zadań politycznych i cywilizacyjnych jakie Naród Polski pełni w tej części Europy. Tego poczucia nie odebrał tym ziemiom Fryderyk Wielki, nie zniszczyła niewola, choć zniszczyła stróża — szlachtę zachodnią. Poczucie to w samorodnym organicznym procesie stało się własnością zdemokratyzowanego w europejskim stylu, biologicznie ludowego stanu polskiego zrośniętego z tymi ziemiami.

Poczucia tego nie zniszczy żadna nowa forma germańskiej agresji, póki na macierzystych ziemiach Polski pozostanie polski człowiek.

Z Genealogii teraźniejszości

NIEMIEC W LITERATURZE I TRADYCJI POLSKIEJ

Warto sobie uświadomić, że to co my obecnie przeżywamy w związku z terrorem niemieckim, nie jest wyłącznie tylko udziałem naszej generacji, ale korzeniami sięga w daleką naszą przeszłość historyczną. Prześladowania, jakich doznajemy dzisiaj od Niemców, nie stanowią jakiegoś odizolowanego niepojętego epizodu, lecz są wypływem końcowym rezultatu długiego procesu dziejowego.

Stwierdzenie to jest ważne. Wiąże się z nim bowiem poczucie naszej nierozerwalnej organicznej jedności z wszystkimi minionymi polskimi pokoleniami, a przez to wzmacnia się nasza odporność wobec straszliwych ciosów, jakie na nas dzisiaj padają. A jednocześnie innych wymiarów, innego znaczenia nabiera antagonizm polsko-niemiecki. Ponieważ stoimy w obliczu rychłego rozwiązania problemu niemieckiego, pamiętajmy o tym, byśmy w decyzjach swych nie kierowali się tylko względem na cierpienia i doświadczenia naszej generacji, ale również względem na cierpienia i doświadczenia wszystkich naszych minionych pokoleń i na dobro tych, które przyjdą po nas.

Z tych przyczyn bardzo pouczający może być rzut oka, choćby powierzchowny na to, jak przedstawiała Niemców literatura i tradycja polska od czasów najdawniejszych aż do współczesnych.

Już w r. 1309 anonimowy dokument przynosił formułę, że „naturalna nienawiść panuje między Polakami a Niemcami" (naturale odium ist inter Polonos et Theutonicos). Wincenty Kadłubek w swej kronice (1223) nie pozostawił żadnej wątpliwości co do tego, że Niemców nie cierpiał.

W pieśni o wójcie Albercie (1312) czytamy o Niemcach: „Wszędzie, gdzie się tylko pojawią, chcą być pierwsi i nikomu nie podlegać i stopniowo przez podstęp dochodzą w kraju do najwyższych godności".

Jan Ostroróg w swym antyniemieckim Memoriale o naprawie Rzeczypospolitej stwierdził, że „już sama natura stworzyła między dwoma językami, jak i w kilku innych rzeczach wieczną niezgodę i nienawiść".

W wieku XVI, w którym większość średniowiecznych kolonistów (niemieckich ulegla polonizacji, mnożą się głosy tego rodzaju. Już wtedy znane było powszechnie poetycko przez Wacława Potockiego w XVII wieku zużytkowane przysłowie: „Jak świat światem, nie będzie nigdy Niemiec Polakowi bratem".

W okresie rywalizacji o tron polski między Francuzem a Habsburgiem ukazała się ulotka „Rozmowa Kruszwicka" (1573), która głosiła: „Między Polakami a Niemcami nie może być żadnej po wieczne czasy zgody. Niemieckie obyczaje nie zgadzają się z polskimi, a czarny orzeł z białym". Nieznany publicysta pisał znowu, że niemiecki naród „jest Polakom zawistny już od samego urodzenia i na zawsze przeciwny", inny że lud niemiecki „różni się od polskiego w obyczajach i ubiorach, wojnie i pokoju, w ogóle we wszystkich rzeczach".

Tego rodzaju słowa brzmią także u Mikołaja Reja i u Jana Kochanowskiego, który mówi w pewnym miejscu: „Nie wiem, czy możecie budować na Niemcach jak na przyjacielu i jak dalece macie wzajem do siebie zaufanie. Jedno jednak wiem: oni pa-

trza na was uważnym okiem i rok po roku następują na was".

Biskup Paweł Piasecki powiada w swej kronice: „Podejrzane jest Polakom imię Niemców, ponieważ z natury żywią w sercu swym bezlitosną nienawiść do szczepu słowiańskiego".

Wacław Potocki w „Moraliach" (1688) pisze m. i.:

„Przeciwko prądowi płynąć a bez piór latać,
Trudno ptaka z drzewa w sieć rybaka
schwytać,
Wilkiem orać, nie mlec a być w młynie,
Trudno Niemcowi z Polakiem być razem,
i ogniowi z wodą".

Ciekawą ilustrację uczuć masy szlacheckiej w wieku XVII, do Niemców stanowi następujące wydarzenie. Francuscy aktorzy dawali pod gołym niebem przed polską szlachtą, siedzącą częściowo na koniach, przedstawienie, w którym francuscy żołnierze po wygranej bitwie biorą do niewoli cesarza niemieckiego. Szlachcice, z których wielu poraz pierwszy brało udział w sztuce teatralnej, byli tak przejęci grą, że jeden z nich krzyknął: „Zabijcie go, skoroście go już pojmali, nie dawajcie mu nic jeść, bo gdy go wypuścicie, będzie się mścił, będzie wiecznie prowadził wojnę i krew ludzką przelewał i w ten sposób nigdy świat nie dozna pokoju. Gdy go zabijecie, zyska król francuski cesarstwo, będzie cesarzem z woli Boga i nasz. A wreszcie, jeśli wy go nie pozbawicie życia, ja go zabiję". Kiedy nie było widać, by aktorzy spełnić chcieli to żądanie, wówczas szlachcic posłał cesarzowi strzałę między żebra, aż ostrze wyszło drugą stroną ciała. W tym momencie inni chwycili także za strzały i łuki i strzelali w tłum francuskich artystów tak, że i król francuski został trafiony w głowę. Reszta napadniętych opuściła scenę w panicznej ucieczce.

Że po rozbiorach sentencje o odwiecznej nieprzyjaźni polsko-niemieckiej pojawiły się w jeszcze większej ilości, nikogo to nie może dziwić.

Mickiewicz w „Grażynie" wypowiada zdania, które stały się przysłowiem:

„Krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt ni gościną, ni prośbą, ni dary!"

lub:

„Raczej żelazo w rozpalonej dłoni,
Niźli krzyżacką prawicę uściskać".

Bohater „Mindowego" Słowackiego, Litawor mówi, że zmuszony żyć wśród Niemców taką do nich nienawiść i pogardę czuje, że serce mu w piersiach gotowe pęknąć. „Niemca trzeba najpierw na ziemię powalić, dopiero wtedy można do niego jak do człowieka mówić" — powiada Maciej Wierzbiński w swej powieści „Pękły okowy". Myśl tę jeszcze ostrzej wyraził w powieści poświęconej polskiej marynarce wojennej p. t. „A tak sępów — powieść z roku 1935". Zgoda z Niemcami jest rzeczą niemożliwą. „Tak brutalnie egoistyczny i tak namiętnie chciwy naród nie jest zdolny do porozumienia ani ze słabszym, którym gardzi, ani z silniejszym, któremu zazdrości. Kiedy mi Niemiec wino daje, wiem, że ono jest zatrute jak wino Gerona".

Jak literatura piękna, tak i język ludowy stworzył wielką liczbę formuł, które w doskonały sposób wyrażają nieprzezwyciężalność przeciwieństwa polsko-niemieckiego i ostrzegają przed zdradzieckim narodem. Oto dla przykładu niektóre:

Zgoda z Niemcami
jak wilkom z barany.

Jak nie będzie z zimy lata,
tak nie będzie z Niemca brata.

Pierwej połkniesz promień słońca,
nim z Niemcami dojdziesz końca.

Niemiec i Polak,
pies i kot.

Od istnienia człowieka
Niemiec Polakowi wbija ćwieka.

Marna to duma
zaprosić Niemca na kuma.

Niemiecka opieka
i w zimie dopieka.

Pruski dar:
dał i odebrał.

Do Niemca bez kija nie podchodź!

Rozmawiaj z Niemcem,
a kamień trzymaj w kieszeni!

Kto Niemcowi uwierzy,
temu pałką mierzy.

Niemiec Dr. Kurt Lück w książce p. t. „Der Mythos vom Deutschen in der polnischen Volsküberlieferung und Literatur" (1937) ocenił antagonizm polsko-niemiecki w odzwierciedleniu literackim jako fikcję, legendę, mit nie mający nic wspólnego z prawdą i rzeczywistością. Wojna obecna, która nie tylko nas, ale cały świat zetknęła oko w oko z „nagą duszą" niemiecką, zadały tej tezie kłam w sposób tak wyraźny i jaskrawy, jak rzadko kiedy. A jednocześnie każe ona podziwiać niezwykłą mądrość naszych ojców, zdrowy, silny instynkt naszego ludu, jego intuicję i zmysł rzeczywistości oraz zmysł przewidywania, który przebija najbardziej nieraz zwodniczą zasłonę chwili bieżącej i dostrzec każe rzeczy prawdziwe, niezniszczalne, trwałe.

Pod skalpel

SATRAPI W OPAŁACH

W ostatnim czasie Forster czuje się bardzo nieswojo. Jeździ po całym Pomorzu, urządza apele przewódców politycznych, lustruje powiaty i gada, gada, gada... Tylko, że obecnie w długich jego mowach uderzają tony dość minorowe. Dzieło odbudowy wydaje mu się teraz znacznie trudniejsze, rzeczywistość bardziej skomplikowana, postawa ziomków nie najlepsza. Ani śladu upojenia się sukcesami. Doszło już do tego, że w piątym roku panowania Forstera na Pomorzu bawiący tam przejazdem Reichsdeutsch może usłyszeć polską mowę „i to zarówno w Grudziądzu, jak i w Toruniu". „W dziedzinie budownictwa, wyznaje satrapa pomorski, „zrobiliśmy co się tylko zrobić dało. W tych pięciu latach stworzyliśmy zaledwie 5 tys. nowych mieszkań, owszem niewiele, ale lepiej coś, niż nic". O miastach pomorskich wyraża się już ogledniej. Nie powie, że mają one zdecydowanie niemieckie oblicze, jak to było jeszcze w ubiegłym roku, lecz tylko tak: Staraliśmy się nadać naszemu krajowi, a zwłaszcza miastom poniekąd charakter niemiecki..."

W polityce narodowościowej, która była zawsze źródłem jego największej dumy, musiał się spotkać z dużymi niepowodzeniami i z licznymi głosami krytyki, bo naraz wyznaje:

„Wiem, jak trudno było przeforsować zwolna tę pracę narodowościową. Wielu było zdania, iż popełniło się błąd (dass es falsch gewesen ist), lecz ja myślę, że czas mówi za nas i za naszą pracę. Politykę narodowościową należy prowadzić, mając przede wszystkim na oku pokolenia przyszłe, a nigdy patrząc na dojrzałego już dzięki wychowaniu człowieka. Nie jest to zresztą nowością, że bardzo trudno jest przesadzić czy nagiąć stare drzewo". („Der Gesellige" — nr. 66, 1943).

Kiedy indziej znów przyznaje: „Nie można zataić faktu, że problem narodowościowy jest trudny do rozwiązania' '(„Danziger Vorp." nr. 120, 43) kończąc zaś lustrację powiatu kartuskiego oświadczył skromnie, że „zabiera ze sobą wrażenie faktu, iż w ostatnich czterech latach wiele pracowano w powiecie kartuskim" Tylko tyle!

Zachowanie się ziomków też nie musiało być beznaganne, skoro Forster na prawo i na lewo rozdzielał porcję szturchańców, przypomnień o obowiązku i pouczeń. Utyskuje na ogrom pracy nad obywatelską postawą Niemców:

„W latach tych partia za pomocą jej odgałęzień i związków, organizowała ludzi i wywierała na nich wpływ. Ludzie wykonują ogromną, ciężką pracę. Muszą oni być ciągle i kierowani i wychowywani, szczególnie ci wśród nich, którzy w swojej postawie nie są jeszcze całkiem mocni". („Der Gesellige", nr. cytowany wyżej).

Jak mało na swych rodaków liczy, jak źle o nich mniema, tego dowodzi jego stwierdzenie: „Bez partii naród niemiecki nie byłby znalazł siły do podniesienia się". W związku z tym na jego ustach pojawia się nawet słowo **kapitulacja:**

„Jakże wielkie są zasługi położone przez partię. Ona to prowadzi naród niemiecki, ona, wiedziona przez Führera, niweczy skutki bomb i **uniemożliwia kapitulację** Rzeszy. Przeciw niej też skierowana jest najsilniejsza nienawiść wrogów..." (tamże).

Ale nie lepiej przedstawia się ostatnio i samopoczucie Greisera. W jego świeżych wystąpieniach publicznych dużo jadu, złości i rozgoryczenia. Dwa są źródła niezadowolenia. Pierwsze to sprawa Volksdeutschów. Idzie ona, jak z kamienia. W „Litzm. Ztg" (nr. 116, 44) czytaliśmy:

„W czambuł potępił Greiser przede wszystkim owe smutne postacie, które niby chwiejne trzciny nigdy nie mogą się zdobyć na mocne zadeklarowanie się do niemczyzny, lub które demonstrują tę niemieckość tylko na pokaz. Precz z nimi, gdyż nie mają oni nic wspólnego z naszym wypróbowanym w walce społeczeństwem! Należy ich odprawić, albo rzucić za nimi jeszcze bilet wolnej jazdy. Ku ich tęsknocie za obcą narodością, jak wyraził się gauleiter. Są oni zdrajcami, jakich prawdziwie niemiecka krew nie zna".

Drugim źródłem niezadowolenia to Niemcy — przybysze. Mówiąc o nich Greiser wprost się pienił z wściekłości:

„Ostro napiętnował Greiser swych nieszczęsnych macherów (Geschäftemacher), przybyłych do nas na oswobodzony Wschód celem jakiegoś szczególnie taniego nabycia gruntu lub założenia „sklepu", aby tylko zarobić i odkuć się (gesundstossen). Zbyteczną jest prawie rzeczą dodać, iż takie natury zawsze węszą koniunkturę (Morgenluft), jako, że ciągle obawiają się o swoje w łatwy sposób zarobione pieniądze.

„Uszczęśliwiają" oni dany teren tak długo tylko, aż zdołają możliwie bez wysiłku zgarnąć „śmietankę". Otóż Greiser zapowiedział teraz, iż również dla nich ma przygotowany sławny bilet wolnego przejazdu,

jako dla wątpliwej wartości indywiduów, piszących słowo „służba" bardzo małą, a słowo „zarobek" tym większą literą. Ci macherzy w interesach o zupełnym braku prawdziwej postawy i obowiązkowości względem ogółu są szczególnie nie na miejscu w naszym, mającym być bez reszty zniemczonym kraju".

„Z tych niesolidaryzujących się (Aussenseitern) nie mogą powstać prawdziwi mieszkańcy Kraju Warty. Brak u nich prawdziwego ducha pionierskiego, wymagającego maksymalnego wysiłku indywidualnego i ofiary zgodnie ze słowem poety: „Mąż poczciwy myśli o sobie na ostatku" (tamże).

Trudno, by ten stan rzeczy we „wzorowym okręgu Rzeszy" mógł uchodzić za wzorowy...

GROBY

Od pewnego czasu można zaobserwować na łamach prasy niemieckiej na ZZ duże zainteresowania się grobami i wykopaliskami. Pojawiają się tasiemcowe artykuły, usiłujące udowodnić, że w odnalezionych grobach znajdują się Germanie. Jak dotąd kwestia ta nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Ale to zainteresowanie się osobliwe kierowane jest niewątpliwie pewnym nieświadomym wyczuciem aktualności. Z uwagi na los, jaki spotka w najbliższym czasie Niemców na ziemi polskiej, przyszła archeologia niemiecka nie będzie potrzebowała uciekać się do hipotez, uzyska bowiem niewątpliwie niezbite dowody dla swoich tez...

SŁOWO W CIENIU... HIMMLERA

W nr. 103 z 12.IV. „Ltzm. Ztg." w artykule p. t. „Słowo w cieniu" czytamy dosłownie: „Wojnę odczuwa również gazeta. Niejedna wiadomość, z którą chciałoby się chętnie podzielić z czytelnikami, musi być utrzymana w tajemnicy. Każdy, kto rano przy śniadaniu czyta artykuł wstępny, czy też w tramwaju przegląda dział lokalny, musi pamiętać, że nieprzyjaciel też czyta. Nie można temu zapobiec. Każde słowo przez nas wydrukowane, jest przez miliony badających oczu wrogiego świata wyławiane i badane. To też prasa musiała się w czasie wojny nauczyć przede wszystkim jednego: milczenia! Wielu z nas nie może zrozumieć dlaczego w tej czy innej sprawie nie zabiera głosu prasa. Oto dlatego, że za prasą stoi jak cień nieprzyjacielski wywiad, który skrzętnie wszystko wyławia, składa, by otrzymać mniej lub więcej wierną całość. Dziś słowo stoi w cieniu, po zwycięstwie nie będzie się potrzebowało liczyć z nikim, ani z niczym!"

Odnosimy jednak wrażenie, że za prasą stoi groźniejszy jeszcze cień: cień Himmlera...

Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

NOTATNIK Z PODRÓŻY

„Poczta" dosyć obfita.

W odpisie: nowe zarządzenie władz niemieckich, rozszerzające ważność ograniczeń w dziedzinie zawierania ślubów odnośnie Polaków — także na Śląsk.

Następnie: wycinek z „Danziger Vorposten". Sąd specjalny w Gdańsku skazał na karę śmierci Antoniego Warachewicza z Brzeźna pow. Starogard. No cóż? Dziesiątki takich wyroków codziennie. Co?? „Warachewicz, jak wykazał przewód sądowy — od 1942 r. należał do bandy, która ukrywała się w specjalnie zbudowanych bunkrach w Borach Tucholskich i napadała na niemieckie zagrody, terroryzując mieszkańców..." „Ah, so! Da liegt der Hund begraben"... Oskarżony nie wykazał w czasie rozprawy żadnej skruchy a podczas odczytywania wyroku miał wyzywającą minę". A więc tym razem wyrok śmierci nie za sprzedaż pół kilo słoniny, ani za przędzenie nici z waty opatrunkowej czy uderzenie niemieckiego młokosa! Tym razem pierwsze oficjalne, sądowe zatwierdzenie partyzantki polskiej na Pomorzu. Że też się zdecydowali na opublikowanie takiej rzeczy. Ho, ho! Widocznie polityka negowania polskości na Pomorzu jest zbyt kosztowna.

Dalej: raport terenowy. „... Reasumując więc — zdolność fizyczna przestała zupełnie odgrywać rolę. Pobór wojskowy obejmuje dosłownie wszystkich, absolutnie wszystkich mężczyzn, począwszy od chłopców w wieku lat 17 a skończywszy na staruszkach 57-letnich. W związku z tym donosimy o nowych metodach Niemieckiej Listy Narodowej, które przez wciągnięcie opornych Polaków na Listą mają na celu wcielenie w szeregi wojska niemieckiego tych, którzy mimo wszystko skutecznie dotąd opierali się łączeniu ich w jakiejkolwiek formie z niemczyzną. W kilku więc fabrykach w Bydgoszczy i innych miast Pomorza kierownicy zaproponowali opornym Polakom przydział niemieckich kart żywnościowych a przy rozdziale ich przedstawiali papiery do pod-

pisania. Wielu Polaków złożyło swe podpisy w przekonaniu, że jest to pokwitowanie odbioru, spostrzeżono jednak wreszcie, że Niemcy przedkładają do podpisu nie pokwitowania, lecz oświadczenia, że podpisany nie czuje żadnej łączności z narodem polskim i zrywa całkowicie z polskością. Powstały na tym tle liczne zajścia, ponieważ robotnicy rzucali karty żywnościowe i domagali się zwrotu podpisanych deklaracyj. W fabryce w Bydgoszczy oszukany w ten sposób Polak wydarł kierownikowi deklarację z ręki i podarł ją na strzępy. Część jednak nie zdołała odebrać oddanych oświadczeń. Spośród tych pewien procent otrzymał już wezwania do służby wojskowej. Należy jak najszybciej ogłosić ostrzeżenie..." i t. d.

„...dramatyczna walka z partyzantami polskimi trwa w dalszym ciągu. W rejonie zalesionym w pow. świeckim oddziały policyjne przy współpracy z bronią pancerną przez cztery dni atakowały bezskutecznie zamaskowane w zagajnikach bunkry. Mimo niesłychanej przewagi w ludziach i materiale Niemcy nie zdołali wedrzeć się do zagajników i musieli wycofać się, straciwszy 30 ludzi oraz jednego oficera. Po naszej stronie trzech odniosło rany.

W pow. kościerskim oddziały niemieckie zaskoczyły załogę jednego z bunkrów; partyzanci zdołali się wycofać. Zginęli dwaj bojowcy, którzy osłaniając odwrót współtowarzyszy zabili z CKM-ów trzech policjantów niemieckich. W pow. wejherowskim oddział policyjny stoczył 6-godzinną zaciętą walkę z załogą wykrytego bunkra. Spośród obrońców 9 zginęło, 2 odniosło rany, 5 wycofało się w lasy..."

„...wysiedlania trwają, szczególnie w okręgu grudziądzkim, zwłaszcza w pow. lubawskim. Chroniąc się przed zsyłką do obozu ludność polska ucieka w lasy..."

Raport w ogóle ciekawy. Jeszcze list. Oho! Pomorze tym razem obrodziło!

„...piszę do ciebie po znajomości, bo sprawa, jaką poruszę jest pilna, ogromnie pilna i chce, żebyś sam jej dopilnował. Wyobraź sobie — przyjechał tu do PIM-u kurier z Warszawy. Opowiada nieprawdopodobne historie, że wy tam doszliście do porozumienia z władzami niemieckimi w sprawie zwalczania komunizmu. Wiesz dobrze, jaki jest nasz stosunek do tego zagadnienia; jeżeli się nie orientujesz w wypadkach, jakie u nas w ostatnim okresie zaszły, to możesz mi wierzyć i polegać na moim zdaniu, że wszelkie próby propagandy komunistycznej a szczególnie rozplakatowanie tych afiszów, zredagowanych w stylu „bratnio-oswobodzicielskim" a podpisanych przez Wandę — najbardziej naiwnym otworzyło oczy na prawdziwe cele Sowietów. Jakikolwiek jest jednak nasz stosunek do Rosji Sowieckiej i jakkolwiek nie znajdziesz u nas człowieka, któryby zgodził się na stratę Ziem Wschodnich, to jednak nikt tu nawet pomyśleć nie umie o chociażby najlżejszej formie współpracy z Niemcami. Możesz więc sobie wyobrazić, jakie oburzenie i rozgoryczenie wywołuje wśród ludzi wiadomość podana przez tego „kuriera". Jestem przekonany, że to albo półgłówek, albo dywersant, nasłany przez niemiecką lub inną obcą a wrogą nam propagandę. Tym nie mniej uważam za konieczne, żebyście natychmiast bez chwili zwłoki zdementowali te głupstwa. Czy nie możecie przysłać kogo? Możebyś ty się wreszcie zdecydował na przyjazd? O wyżywienie nie martw się, postaramy się, żebyś nie cierpiał głodu. Z językiem też już sprawa przedstawia się inaczej; nie zwrócisz uwagi, jeśli będziesz mówił po polsku. Zmieniły się warunki. Niemal już wszyscy mówią po polsku, jawnie, publicznie, Niemcom zaś wobec widocznej już klęski — brak odwagi na to, by z dawną, ale dobrze pamiętną brutalnością tępić przejawy naszych prawdziwych uczuć..."

. . . .

Niebo jest wprawdzie pogodne, ale poranek zimny. Tramwaje zatłoczone jak w Warszawie. Trzeba chyba będzie na piechotę dralować taki kawał drogi.

Ho! Człapie dorożka.

— Zawiezie mnie pan na dworzec?

— Właśnie tam jadę, niech pan wsiada.

Coś tam jednak było nie w porządku z tym „właśnie". Albo ten stary dorożkarz poznański nabić chciał mnie w butelkę, albo przypuszczał, że chętnie wezmę udział w jego wycieczce krajoznawczej, dość, że zerkając co chwilę na mnie chytrze jechał do dworca jakoś dziwnie zawiłymi drogami. Kilka choć już lat nie byłem w Poznaniu, przecież zauważyłem, że zbaczamy z drogi a nieraz nawet się cofamy. Co najciekawsze — trasa wiodła właśnie tymi ulicami, które ucierpiały od ostatniego nalotu amerykańskiego w drugi dzień Zielonych Świąt.

Było mi to na rękę. Sam byłem ciekaw, jak działają alianckie bomby. Właściwie nic nowego. Zwalone domy, wiszące belki, stosy gruzów i jeżeli co niezwykłego, to kompanie robotnicze, gorączkowo pracujące nad odkopywaniem zasypanych. Jakiś policjant niemiecki wyniósł z gruzów nocny stolik, stawia go na jezdni i staje nad nim ze śmiesznie bezradną i zakłopotaną miną. Widzę z boku, że dorożkarz się uśmiecha. Odwraca się do mnie powolnym ruchem.

— Wiela naszych zginęło.

— Niestety. Ale Niemców więcej.

I śmieje się. Śmieje się cicho wprawdzie, ale triumfalnie, z prawdziwą, głęboką uciechą.

— Wie pan, moja stara służy u jednych Niemców. Jak był alarm, to te Niemcy w rozpacz. „Donnerwetter, wie lang wird es noch ‚dauern?" — klął ten Niemiec bez przerwy. A ta Niemka: „Mein Gott, za co my tyle cierpimy, to ten Adolf, der Hund, das Schwein ist schuldig". I do piwnicy tak szybko polecieli, aż się za nimi kurzyło. A moja to została u góry. „Aby raz sobie spokojnie zjadłam" — mówi do mnie. Nie bądź głupia — mówię — bomba nie bomba, nie wie kto Polak, a kto Niemiec. „Ady to nasze chłopaki latają, krzywdy nam nie zrobią". I gadaj człowieku co chcesz. Na upór nie masz rady.

Umilkł i odwrócił się. Pewno po to, żeby zobaczyć ile marek już zegar wybił. Jedziemy lub mijamy ulice — jak z wiersza — „znajome z dziecinnych lat". Dolina Wilda, Dolina, Górna Wilda, Żupańskiego, Różana, św. Czesława, Wierzbięcice, Stroma.

— Tu już raz wyprzęgałem konia.

— Nie rozumiem.

— Ano Schupo mnie zatrzymał. Ulitował się nad koniskiem. Du verfluchte Pole nie widzisz, że górka? Koń się zmęczy! Wyprzęgać! Nie ma rady. Pocę się i ciągnę dorożkę pod górę a koń człapie sobie bokiem i wytrzeszcza na mnie gały. Pewno się dziwił co to mi strzeliło do głowy. Ech! Z dorożką to jeszcze nie tak źle! Na Podgórnej to już parę razy widziałem, jak ludzie ciągnęli pod górę ciężko naładowane wozy ciężarowe. Kiedy to człowiek widzi, to się cieszy, że nie jest konduktorem tramwajowym.

— Trochę pan chyba przesadza.

— Przesadza? To pan chyba nie tutejszy, chyba z Warszawy, co? — Śmieję się i kiwam głową. — Zarazem sobie tak pomyślał. Co wy tam wiecie! Moja siostra, ta co została wysiedlona, pisze tak. Ale zaraz, muszę najpierw tamto opowiedzieć. Widzi pan — mój syn znalazł sobie pannę i chciał się z nią żenić. Ale nie mógł, bo tu żenić wolno się dopiero jak się ma 28 lat, zaś panny muszą mieć 25 lat. Chłopak się jednak uparł. Nie można się dziwić. To jedno nam zostało jeszcze. Uradzili my więc, że pobiorą się bez ślubu cywilnego. Był taki jeden ksiądz, co chodził po domach, ale akurat go aresztowali, świeć Panie nad jego duszą. Było jeszcze czterech księży, co odprawiali msze u św. Marcina i Wojciecha; jak zamordowali ks. Jankowskiego, dobry to był ksiądz, to ich pozostało już tylko trzech na całe miasto, a i tak pilnowali ich aż strach. Gdyby zresztą chcieli latać po ludziach, toby im dnia ani nocy nie starczyło. No i co? Nie było rady. Grzech bo grzech i ludzie będą gadali. Cóż tam! Pan Bóg wybaczy, ludzie zrozumieją. Dali my im rodzicielskie błogosławieństwo i żyjcie z Bogiem. A do ołtarza pójdziecie po wojnie.

Ani chybił po dziewięciu miesiącach urodził się syn. A mówiłem im, pilnujcie żeby nie było dziecka. Ba! oni właśnie chcieli. Mój syn to już jest taki reskyrant. Furt a furt swoje: „Tyle Polaków ginie, to muszą być nowe dzieci". Zaś synowa to myślała, że może ją z roboty zwolnią. Niech piorun trzaśnie ten Arbeitsamt. Przed wojną to ludzie oblegali go, żeby dostać robotę, teraz omijają go z daleka, przeklinają i żegnają się jak kto go wspomni. No więc dziecko było słabe. Synowa musiała harować w fabryce aż do swego dnia. Jak kiedy zasłabła, to jej nie puszczali do domu, tylko kazali wypocząć w ambulatorium, a potem tę godzinę odtrącali z zarobku. No i jak mogło być dziecko silne? A tu po sześciu tygodniach wzywają ją do roboty. Poszła i mówi: „mam dziecko". To jej kazali odnosić dziecko do jednej kobiety, co mieszka parę ulic dalej. Taka stara, że ledwo się rusza. Nic już prawie nie widzi a głowa i ręce to jej się ciągiem trzęsą. To pan sobie wyobraża, jak u niej było dziecku. Chorowało i dostało wrzodów. Więc ta moja siostra z Warszawy pisze, że mało dbamy o dziecko, że trzeba je codziennie kąpać.

Mądrze mówić, gdy się nie wie co i jak. Kąpać! Jak u nas mieszka razem 16 osób w dwóch izbach i kuchni, to jak tu kąpać? Umyć ledwo można. Rano to istna obraza boska. Wszyscy chcą się myć, a tu ciasno, że się ruszyć nie można. W sionce śpi na podłodze jeden kawaler i akurat on najpóźniej idzie do roboty. Co rano klnie; no trzeba przyznać, nieraz go już podeptali; ludzie łażą senne jak muchy. „Cały dzień haruję i nawet spać mi nie dacie". Mówię do niego: spokojnie człowieku, nikt na ciebie umyślnie nie lezie, a wyspać się będziesz mógł po wojnie. Ale on jest bardzo nerwowy i wykrzykuje, że nie poto się uczył na sędziego, żeby teraz robili z niego wycieraczkę.

— Panie kochany, popędź pan swego rumaka, bo mi pociąg zwieje sprzed nosa!

— Wio, no wio! Znarowiła się szkapa. Ona ma teraz dobrze, lepiej niż my. Ona jest potrzebna, a my nie. Jak mi szkapa padnie, to mnie do obozu poślą. Jak ja umrę, to jakby mucha zdechła. Jeden to raz kop-

nął konia i wie pan co? — dostał za to sześć miesięcy obozu koncentracyjnego. My to gnój. O widzi pan, tu trzasła bomba w uniwerek. Szkoda, że nie w ten zamek. Toby się ludzie cieszyli. Przed wojną to była już resztka z tego, co tu zostało z niemczyzny. Te szare kamienie nie pasowały do tej naszej młodzieży, co tu się uczyła. Ale ten uniwerek to chyba odbudują. Ej! — z uczbą będzie ciężko. Choćby te dzieciaki. Jedna rodzina, co z nami mieszka, ma chłopaka dwunastoletniego. Och, to biedne dziecko. Zamiast chodzić do szkoły, albo gzić się na Dębcu, musi teraz chodzić do fabryki. Takie chuchro. Do szkoły to prawie żadne nie chodzi. Jak my idziemy do roboty, to w domu zostają same dzieciaki. Ani nikt nie ugotuje, ani nikt nie posprząta, garnki zimne i te dzieciaki tak cały dzień głodują i czekają na nas. Żeby choć jedną babę w chałupie zostawili. Ale, nie. Każdy musi pracować. Tak i dzieciska marnieją. Mój wnuk jest taki słaby, że pewno Polski nie doczeka. A synowa chodzi już z drugim. Bieda z tym. I płacić jeszcze za to trzeba.

— Płacić?

— Ano płacić. Jak kto ma nieślubne dziecko, to musi płacić co miesiąc 40 RM do niemieckiego Czerwonego Krzyża.

— Czy on się opiekuje dzieckiem?

— Gdzie tam! To za karę. Oniby chcieli wszystkich nas jak najszybciej wykończyć, a tu jak na złość rodzą się nowe dzieciaki. W tej złości każą za to płacić karę. A jak kto nie może tyle płacić, to ściągają karę z jego ojca, albo braci. O! — tu z nimi nic się wykręcić nie da! Jakoś to im jednak wszystko nie wychodzi. Dzieci rodzi się coniemiara. W jednej rodzinie, co już ma czteroletniego wnuka, urodziło się teraz dziecko. Ludzie się śmieją i mówią, że to z drugiego małżeństwa. A ten ojciec to jakby zupełnie odmłodniał. Jeno chodzi i pogwizduje sobie. Eee! Żeby my mieli warunki... — Westchnął. — Niemcy za każde nowe dziecko dostają wyższe pensje, dodatki i co tam jeszcze, a i tak u nas więcej się rodzi. Żeby tylko tyle nie umierało.

Szkoda, że nie możemy jechać na dworzec zachodni, tam wszystko zniszczone, toby pan zobaczył, jak tego Foke-Wulfa strzaskali. Po pierwszym nalocie jeszcze jedna hala została. Ludziska klęli. Psiakrew, nie mogli to zupełnie wykończyć? Po tym nalocie wszyscy co prędzej biegli popatrzeć, czy jeszcze co zostało. No i nic już nie ma. Na Grunwaldzkiej, Bukowskiej i Matejki masa Niemców zginęła, a szkoda tylko tych zakładów uniwersyteckich. No cóż, czy lotnicy wiedzą, co my byśmy chcieli oszczędzić?

Chwaty. Oj chwaty panie. W Krzesinach, tam mój brat pracuje, jeden samolot zaczął spadać. Niemcy krzyczą hurra! Skaczą i cieszą się, że chociaż jednego strącili. Faktycznie — samolot leci z rykiem na ziemię. Nagle jednak puszcza serię bomb, podnosi się w górę i nie minęła sekunda a z Niemców i całej baterii przeciwlotniczej pozostają szczątki. Ani jednego nie zestrzelili, choć było przeszło trzysta samolotów. Jednak naszych też zginęło trochę

— A co to są te Krzesiny? To ta stacja pod Poznaniem?

— Pan chyba na ostrowski pociąg jedzie, to pan po drodze zobaczy. Niemcy zbudowali tam zupełnie nowe, ooo! — i jak wielkie fabryki lotnicze. W pierwszym nalocie Amerykańce jakby o nich nie wiedzieli, teraz jednak zabrali się porządnie. Stoi jeszcze tylko jedna hala z gotowymi samolotami. Reszta w proszku. Szkoda tylko naszych.

— Czy tam były straty? Przecież nalot był w święto!

— Otóż to właśnie. Po nalocie w Wielkanoc Niemcy domyślili się, że nie będzie nalotu w dzień powszedni, kiedy idzie robota, bo to niby nas nie będą bombardować. Jak sobie tak pomyśleli, tak też zaraz nakazali, żeby robota szła bez zmiany we wszystkie niedziele i święta. Tym chcieli odstraszyć Amerykańców. A jednak ci przylecieli. Pewno jednak o tym wiedzieli, bo rzucili bombę i latają sobie spokojnie po niebie. Ma się rozumieć — ludziska w nogi. Ale siedem tysięcy to nie drobiazg. Poniektóry to jeszcze wrócił po marynarkę, drugi po narzędzia. Bo wie pan — Niemcy wydali nakaz, że kto w razie nalotu nie weźmie ze sobą narzędzi, ten pójdzie do obozu. Większość to sobie gwizdała na nakazy i uciekała w pola, ale ci, co już raz byli w obozie, mieli stracha — znowu westchnął — no i trochę ich zginęło. Prrr, prrr. O! — sporo się uzbierało — kończył z najniewinniejszą miną — no też kawał drogi ujechaliśmy. Cztery i pół proszę pana. Jak pan spotka w Warszawie moją siostrę, to niech pan jej powie... Zaraz, zaraz, resztę panu wydam, pięć i pół...

— Reszta dla wnuka.

Znieruchomiał na koźle i zaniemówił. Na rok pewno raz najwyżej zdarza mu się okazja tak dużego zarobku.

. . . .

— Alle Polen rrraus!

Jeszcze tego brakowało. Osiem wagonów dla Niemców świeci pustkami, trzy wagony dla Polaków przepełnione niemożliwie. Teraz trzeba szukać miejsca w jednym z po-

zostałych dwóch wagonów. Kto go nie znajdzie, pozostanie na peronie. Nic tu nie pomoże z najwyższym trudem zdobyta przepustka.

Mimo zimna wczesnej porannej godziny w zatłoczonym i dusznym wagonie panuje upał. Wśród pasażerów widać dużo inteligentnych twarzy, choć z pozorów sądząc — wszyscy to robotnicy i robotnice. Jakiś zbiedzony i wynędzniały mężczyzna obok mnie zapala papierosa. Ciężki drażniący dym uderza jak obuchem w głowę. Wyciągam papierośnicę.

— Może pan zapali mojego, jest chyba trochę lżejszy.

— Z przyjemnością. Cóż to? Polski papieros?

— Ale nie, to monopolowy, z Warszawy.

— Pan z Warszawy? Niech pan coś opowie jak tam? Może pan mówić śmiało, wszyscy tu swoi, z fabryki.

Opowiadam te same rzeczy poraz setny. Z opresji ratuje mnie kontrola. Urzędnik szczegółowo bada mój Reisegenehmigung, porównuje z dokumentami. Dziwi mnie pobieżna kontrola u innych pasażerów.

— Bo pan tu obcy — wyjaśnia mi rozmówca. Nas zna on już wszystkich niemal po nazwisku. Codziennie jeździmy do pracy.

— Do pracy? Z Poznania do...

— ...Jarocina, a jakże. Siedemdziesiąt kilometrów jak ulał. Dawniej pracowaliśmy na miejscu. Potem przeniesiono część zakładów Foke-Wulfa do Jarocina i teraz tam musimy dojeżdżać. Jest to niezmiernie przykre. Ja np. mieszkam na Winiarach i żeby zdążyć na pociąg muszę wstawać o pół do czwartej rano. Pracujemy od 7 rano do 19 wieczorem. Wracam do domu nocą. Takie to życie.

— Hm. Jakoś nie umiem pogodzić tego ze słynną niemiecką organizacją.

— Ona się już wyraźnie rozsprzęga. Niech pan posłucha. Z góry idą nakazy, żeby nasze siły wykorzystać do ostatnich możliwości. A praca nie zawsze jest. U nas np. produkcja jest minimalna. Oświadczono nam wprawdzie, że skrócą nam dzień pracy, nie wiem jednak, czy to zostanie zrealizowane, bo władze surowo pilnują wykonania zarządzeń o czasie pracy dla Polaków. W większości wypadków dla szykany, nawet wbrew interesom zakładów. Bardzo często wiec ludzie zatrudnieni są przy robotach zupełnie bezcelowych i niepotrzebnych. A z drugiej strony brak ludzi. Wszystkie zakłady pracujące dla wojska otrzymały surowy nakaz, aby w żadnym wypadku nie zwalniały pracowników i broń Boże nie oddawały ich do dyspozycji urzędów pracy. Bo kiedy się robota zwali, to wtedy znikąd ludzi nie dostaną. I z tych powodów my musimy dojeżdżać 70 km. do pracy.

Niezależnie od tego jednak widać już bałagan. Słyszał pan o tym, że naczelna komenda wydała zarządzenie, iż na terenie obiektów wojskowych obcokrajowców zatrudniać wolno wyjątkowo w tym tylko wypadku, gdy naprawdę brak Niemców? Na skutek tego zarządzenia w Rzeszy zwolniono z pracy dużo Polaków, którzy wyjechali na roboty przed zimą. Zwolniono także Polaków wpisanych na NLN w III i IV grupie, co jest najlepszym dowodem na to, że „zniemczenie" ich, przeprowadzone pod terrorem w sposób mechaniczny — najzupełniej nie gwarantuje Niemcom z ich strony lojalności. Zwolnionym nakazano natychmiast wyjechać do naszego okręgu. Poznański urząd pracy, do którego w myśl nakazu się zgłosili, kazał im zgłosić się do miejscowych urzędów pracy, w tych zaś kazano im siedzieć w domu i czekać na dalsze polecenia. Wszystko byłoby w porządku, cóż — kiedy w sprawę wdała się policja, która wśród zwolnionych dokonała masowych aresztowań pod zarzutem uchylania się od pracy. Odstawiono ich znowu do Poznania, tam zwolniono i teraz ci ludzie bez końca jeżdżą do Poznania i z powrotem. Wracający z Rzeszy opowiadają, że Niemcy lada chwila oczekują inwazji i z tego powodu obawiają się dywersji polskiej na terenie obiektów wojskowych. A jak pan sądzi — odbędzie się w tym roku inwazja?

Bąkam niewyraźnie coś w stylu „może tak, a może nie".

— O! — bo my tu czekamy na nią każdego dnia. Długo już nie wytrzymamy. Ja np. od czasu jak przeniesiono nas do Jarocina na dobę śpię 5 godzin. Kto to zniesie? I żadnych dodatków dla ciężko pracujących nam nie dają. Wspaniały ten papieros — umilkł na chwilę, zaciągnął się. — Nieraz już paliłem liście z drzew, ale najczęściej liście rabarbaru. — Znowu umilkł na chwilę. — Moją rodzinę wysiedlili teraz spod Koźmina, do Lotaryngii.

— Dokąd?

— Do Lotaryngii. Całą wieś. Przyjechali samochodami i w 20 minut wysiedlili wszystkich, żywej duszy nie zostawili. Już otrzymałem list. Osadzono ich na gospodarstwach. Francuzów wywieziono stamtąd pewno w chwili przyjazdu naszych, bo jeszcze ogień palił się pod kuchnią, a na stołach były niesprzątnięte resztki jedzenia.

— Jaki to ma sens? Dlaczego właśnie do Lotaryngii?

— Hm. Nie wiem. Niemcy mówią, że 80% ludności polskiej ma ulec w najbliż-

szym czasie wywózce. Zaczęli to na wielką skalę. Wysiedlono już szereg wiosek spod Koźmina, z pow. jarocińskiego, średzkiego a także z czarnkowskiego i in. Wywożą zaś głównie do Alzacji i Lotaryngii, pozatem w okolice Linzu w Austrii; — westchnął — porozwozili nas na wszystkie strony. Długo potrwa, zanim się zbierzemy razem.

Zapadło milczenie.

. . . .

W Kępnie przesiadka. Nie ma bezpośredniego pociągu osobowego z Poznania na Śląsk, wyjąwszy pospieszne, a te są nur für Deutsche. Zajeżdżam do Katowic zmęczony. Pierwsze kroki kieruję do fryzjera.

— Rasieren — mówię dla pewności po niemiecku.

— A mydełko pan ma? — brzmi polska odpowiedź.

Kpi czy o drogę pyta. Rąbię więc grzecznie — a panu szanownemu jakiego potrzema, może glicerynowe, albo dobre nicejskie?

Mistrz spurpurowiał. Gdyby nie szczęśliwy wypadek, byłoby zdaje się źle. W samą jednak porę zerwał się z fotela znajomek — prawdziwy dues ex machina — którego między innymi miałem właśnie szukać. Po głośnych przywitaniach wyjaśniło się, że chodzi o mydło do golenia. Kto się chce tu golić u fryzjera, musi mu oddawać przydziałowe mydełko, jedno na trzy kwartały. Jestem zdumiony takim przydziałem, ale dziwić się przestaję po chwili, kiedy się dowiaduję m. in. że np. papier toaletowy otrzymują tylko dzieci niemieckie do lat 6 w odliczonych ilościach i to jeszcze tylko na kartki odzieżowe. Hm, hm.

Ze słonecznej ulicy schodzimy do parku. Oczywiście — na ławkach napisy „Nur für Deutsche" — jak wszędzie. Wtajemniczam towarzysza w cel mojego przyjazdu.

— Co mówisz? Nie słyszałem. Jak? Czyś mowę stracił? Mówże głośniej!

Na to przypominam mu, że w tymże parku dwa lata temu o mało co zostałbym pobity za to, że zawołałem głośno „Serwus jak się masz".

— Pieronie! Teraz się zmieniło. Popatrz jak łby pospuszczali. Człowieku! Każdy Szwab teraz chętnie zrobi z tobą znajomość i będzie ci gadał, jak on Polakom sprzyja, jak on ich kocha i lubi, ach, ach! Ty sobie nie potrafisz wyobrazić, jakiego oni mają pietra. Tylko partajmanów się strzeż. Czekaj opowiem ci dowcip. Hitler żeby poznać rzeczywiste nastroje Niemców, wyruszył w przebraniu na ulicę. Przed głośnikiem zapytuje jakiegoś człowieka „co pan myśli o naszej sytuacji?" Ten wzruszył ramionami i odszedł. Drugi zamierzał dać mu w pysk. Po wielu próbach jeden wreszcie partajman wziął Hitlera pod ramię, zaprowadził do swego mieszkania, zaciągnął rolety, popatrzył przez dziurkę od klucza i potem zaczął szeptem mówić do ucha „Führer to jest prorok, to jest objawienie, największa postać w naszej historii itd.". Ale dlaczego pan tak cicho to mówi?" — pyta Hitler. „Głośno nie można — odpowiada tamten — za takie gadanie teraz łatwo można oberwać po skórze".

— Posłuchaj jak ludzie mówią, wszyscy po polsku.

— Rzeczywiście, jestem trochę zaskoczony. Ale co ty porabiasz, masz urlop?

— He, „polski" urlop.

— ??

— Urzędowe sprawy załatwiam, nie widzisz. Jesteś w niewoli, pracuj powoli. To usłyszysz w każdej rozmowie. Albo:

Polak w niewoli
pracuje powoli.

Robi się co można. Sabotażyki też odchodzą, aż miło. Pociągami nie radzę ci wiele jeździć, łatwo mógłbyś zajechać do nieba. Sam raz maczałem w tym palce. Taki kamyczek — mówię ci — w zwrotnicę. Nadjechała ta cholera i fiut! Mówię ci, można było pęknąć ze śmiechu, jak te wagony kładły się po kolei. Mieliśmy szczęście, bo z drugiej strony nadjechali właśnie urlopnicy. Jak wpadli na tę kupę żelastwa, to aż w żołądku się coś poruszyło. Potem było mi trochę markotno, bo dziesięciu z Mysłowic za to rozstrzelali. Pierońskie szwaby. Choć właściwie lepsza śmierć niż ta mordownia mysłowicka. Kiedy przychodzą grypsy z obozu, mam ochotę wyjść na ulicę i mordować wszystkich Niemców. Obóz w Mysłowicach — to najcięższa mordownia w Polsce. Torturują ich bestialsko Na kole rozciągają, zapalonym papierosem wypalają oczy, na oczach badanych torturują ich dzieci. Zbrodniarze! Bydło!

Tak, tak. Mimo pozorów nie wesoło. Znowu wielkimi falami przez cały Śląsk przechodzą aresztowania. W murach więziennych, za drutami obozów giną najcenniejsze jednostki. Najlepsze jednostki giną masami. Brzmi to nieco paradoksalnie, całe życie jednak na Śląsku przedstawia się jak paradoks. „Gau Oberschlesien", „zniemczony" Śląsk korzysta z niemieckich kartek żywnościowych — a jednocześnie bez przerwy krwawi i obficie broczy krwią swych synów, których serca za „Ausweisem" III czy IV kat. NLN albo nawet pod niemieckim mundurem biją przecież rytmem wspólnym całej Polsce.